



foto G. Dayton-Mohl Collection

Malutki Wojtek z porucznikiem Stanisławem Królem, Tel Aviv 1942

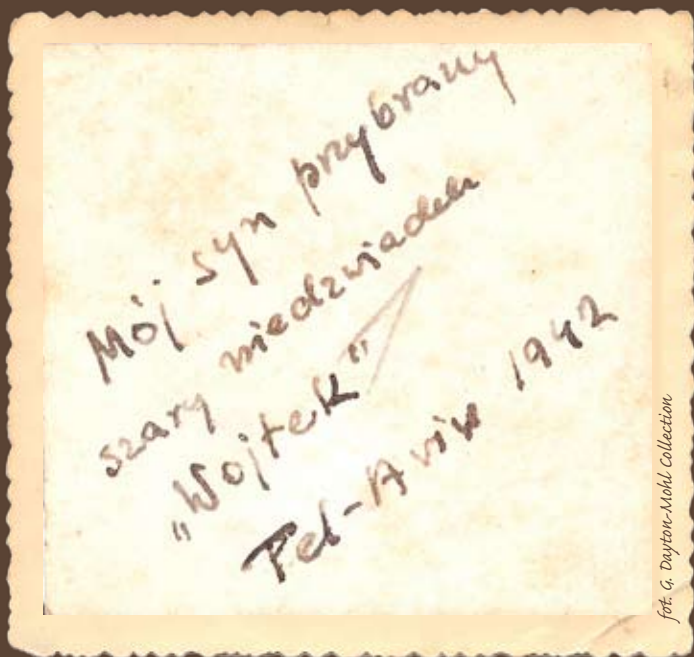


foto G. Dayton-Mohl Collection



*Wojtek przed naszym namiotem.
Jak zawsze w centrum uwagi. Irak, 1942*



Miś rośnie jak na drożdżach... Nic dziwnego, apetyt mu dopisuje!



foto: G. Deyton-Mohl Collection

Porucznik Stanisław Król uczy Wojtko tańczyć



foto z kolekcji W. Narebskiego

*Wojskowa ciężarówka mknie przez pustkowia Persji.
Widoczne w tle góry to ojczyście strony Wojtka*



foto PISMA

*Fotografia podarowana generałowi Władysławowi Sikorskiemu,
znaleziona w jego teczce wydobytej z morza po tragicznej śmierci
generała w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem 4 lipca 1943 roku*



Radosne chwile spędzone na wspólnej zabawie

*Miesiąc po miesiącu żegnamy kolejnych Żołnierzy –
ostatnich uczestników II wojny światowej.*

*Ci, którzy pozostali, to starsze panie i starsi panowie,
przeważnie zaszyci w swoich domach
i w swoich wspomnieniach.*

*Nie wolno nam Ich zapomnieć – ani nam,
ani naszym dzieciom, ani dzieciom naszych dzieci.*

*Dlatego niech ta fascynująca opowieść
o misiowej przygodzie, która była Ich udziałem,
stanie się pomostem, po którym nasze dzieci
przejdą do poważnych lektur wojennych,
otaczając te czasy i Weteranów
zainteresowaniem, podziwem i szacunkiem.*

Joanna Berdyn

Wydawnictwo Pointa

2009

w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej

Łukasz Wierzbicki

DZIADEK I NIEDŹWIADEK
HISTORIA PRAWDZIWA

Ilustracje
Ireneusz Woliński

WYDANIE DRUGIE

Pointa! 

2009

Copyright © 2009 Pointa and Łukasz Wierzbicki

PROJEKT OKŁADKI I ILUSTRACJE

Ireneusz Woliński

MAPA

Marcin Ćwikła

ZDJĘCIA

Wojtek z por. Królem – G. Dayton-Mohl Collection

Copyright © G. Dayton-Mohl

*

Pozostałe zdjęcia w albumie i zdjęcie na okładce
Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

Copyright © The Polish Institute and Sikorski Muzeum

*

Zdjęcie pani Ireny Anders

pochodzi z publikacji pt. *Komitet Honorowy Obchodów 70. Rocznicy Wybuchu*

II Wojny Światowej, Warszawa, Urząd do Spraw Kombatantów

i Osób Represjonowanych 2009

Copyright © Mariusz Kubik

*

Zdjęcia we wstępie

z prywatnej kolekcji prof. W. Narębskiego

KONSULTACJA JĘZYKOWA GWARY LWOWSKIEJ

Ryszard Orzechowski

REDAKCJA

Maria Rawska

KOREKTA

Anna Lis



WYDAWNICTWO

ul. Parkowa 11, 05-510 Konstancin

e-mail: pointa@pointa.com.pl

www.pointa.com.pl

fax: 00 48 22 754 60 58

ISBN 978-83-924991-1-4

OPRACOWANIE GRAFICZNE & DTP

Adam Dąbrowski

DRUK I OPRAWA

Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca SA, Kraków

HONOROWY PATRONAT NAD KSIĄŻKĄ OBJĘŁA

PANI IRENA ANDERS



Irena Renata Anders (z domu Bogdańska) urodziła się 12 maja 1920 roku w czeskiej miejscowości Freudenthal koło Ołomuńca. Od 1926 roku mieszkała we Lwowie, gdzie uczyła się śpiewu i gry na fortepianie we Lwowskim Instytucie Muzyki. Po wybuchu II wojny światowej przerwała studia, ale wraz z zespołem Warsa dawała liczne koncerty w Związku Radzieckim. Działalność artystyczną kontynuowała w Armii Polskiej, odtworzonej przez generała Władysława Andersa, a po jej wyjściu z „niełudzkiej ziemi” – w zespole „Polska Parada”, występując między innymi przed żołnierzami 2. Korpusu Polskiego.

Przeszła cały szlak bojowy, począwszy od Związku Radzieckiego przez Iran, Irak, Palestynę, Egipt do Włoch. Po bitwie o Monte Cassino wystąpiła wraz z zespołem na pobojowisku góry klasztornej, śpiewając po raz pierwszy piosenkę *Czerwone maki na Monte Cassino*. Służbę wojskową zakończyła w stopniu kaprała.

Po wojnie zamieszkała w Wielkiej Brytanii, gdzie w 1948 roku wyszła za mąż za generała Władysława Andersa. Współpracowała z Marianem Hemarem, występowała przed Polonią w Wielkiej Brytanii, Francji i Izraelu, a także w rozgłośni BBC i Radio Wolna Europa, grała w filmach.

Jest członkiem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Wielkiej Brytanii. Została odznaczona Złotym i Srebrnym Medalem Monte Cassino. W 2007 roku otrzymała Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski i nominację na stopień kapitana w stanie spoczynku. Mieszka w Londynie.

Opracowano na podstawie autoryzowanej noty biograficznej autorstwa Jana Tarczyńskiego zamieszczonej wraz ze zdjęciem pani Ireny Anders wykonanym przez Mariusza Kubika w publikacji pt. „Komitet Honorowy Obchodów 70. Rocznicy Wybuchu II Wojny Światowej” wydanej przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

POZOSTALI PATRONI

PATRON GŁÓWNY:

w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej



oraz



POZNAŃSKIE SPOTKANIA TARGOWE
Książka dla Dzieci i Młodzieży



Wojtek o Wojtku

Drodzy młodzi Czytelnicy,
jestem ostatnim żyjącym w Polsce żołnierzem 22. Kompanii
Zaopatrywania Artylerii, która podczas II wojny światowej opiekowała
się niedźwiedziem Wojtkiem, bohaterem tej książki. Od tego czasu mi-
nęło już ponad 60 lat, ale w marzeniach sennych widzę często wszystko
to, co przeżyłem w tamtych chwilach i to tak wyraźnie, jakby to było
wczoraj.

Imię świętego Wojciecha, pierwszego patro-
na Polski, jest w naszym kraju dosyć pospolite.
Dlatego często zdarzało mi się spotykać ludzi
noszących to samo imię co ja. Gdy jednak po
aresztowaniu w Wilnie w 1941 roku, a miałem
wtedy zaledwie 16 lat, i spędzeniu w sowieckim
więzieniu sześciu miesięcy, zostałem zwolniony
i wstąpiłem w szeregi Wojska Polskiego, spotkała
mnie przygoda niezwykła.



Po przebyciu ciężkiej choroby, spowodowanej
trudnymi więziennymi warunkami, znalazłem się w Ziemi Świętej,
gdzie z ewakuowanych ze Związku Radzieckiego wynędzniałych żoł-
nierzy zaczęła się tworzyć Armia Polska na Bliskim Wschodzie, zwana
Armią Andersa - od nazwiska jej dowódcy. Tam przydzielono mnie do
22. Kompanii Transportowej, przemianowanej później na 22. Kompanię
Zaopatrywania Artylerii.

Kiedy zameldowałem się u jej dowódcy, spostrzegłem ze zdziwieniem,
że w pobliżu namiotu kancelarii kompanii jest legowisko... sympatycz-
nego i potulnego niedźwiadka. Moje zdziwienie i radość były jeszcze

większe, gdy okazało się, że miś ma to samo imię co ja – Wojtek. Odtąd więc było w naszej jednostce dwóch Wojtków. Wkrótce mój czworonogi imiennik wyrósł na dorodnego niedźwiedzia i dla odróżnienia nadano mu przydomek Dużego, a mnie - Małego Wojtka.



O tym, w jaki sposób miś znalazł się w naszej kompanii i jakie były jego wojenne losy, dowiedziecie się, drodzy młodzi Czytelnicy, z tej bardzo ciekawej książki.

Dodam tylko, że moja 22. Kompania Zaopatrywania Artylerii wchodziła w skład 2. Korpusu Polskiego, który, po przeszkoleniu w Iraku i Ziemi Świętej, został przetransportowany do Włoch. Jak zapewne wielu z Was słyszało, wstawił się on zwycięskimi walkami o Monte Cassino, zdobyciem ważnego portu Ankona, przetamaniem silnych fortyfikacji w górach Apeninu zwanych linią Gotów i wreszcie jego oddziały jako pierwsze wkroczyły do Bolonii, siedziby najstarszego uniwersytetu na świecie. Te wielkie sukcesy okupione zostały ciężkimi stratami. Ponad cztery tysiące żołnierzy 2. Korpusu oddało „Bogu ducha, ziemi włoskiej ciała, a serca Polsce” i spoczywa na czterech polskich cmentarzach wojennych na Monte Cassino, w Loreto, Bolonii i Casamassima koto Bari.

W tych trudnych momentach Wojtek był zawsze z nami i już sama obecność tego sympatycznego czworonożnego przyjaciela bardzo dodatnio wpływała na nasze samopoczucie. Trzeba Wam wiedzieć, że moja kompania miała potężne, czterotonowe samochody ciężarowe, przeznaczone do przewozu pocisków dla naszej ciężkiej artylerii, a zaopatrzenie trzeba było często dowozić nocą, bez używania świateł, zazwyczaj jeżdżąc

po górskich, krętych i ostrzeliwanych przez Niemców drogach. Gdy skrajnie zmęczeni wracaliśmy do miejsca postoju kompanii, Wojtek witał nas zawsze radośnie, co bardzo poprawiało nam nastrój. Zdarzało się też, że pomagał nam w załadowywaniu i rozładowywaniu na samochody ciężkich skrzynek z amunicją.



Ponadto zabierał się z nami na mniej niebezpieczne wyjazdy, budząc podziw i sympatię miejscowej ludności, gdy spotkani Włosi przekonywali się, że to niedźwiedź naprawdę dobrze wychowany.

Nie brakło jednak i wydarzeń pozornie niebezpiecznych, a w gruncie rzeczy po prostu zabawnych. Pewnego dnia nasza kolumna samochodów z zaopatrzeniem jechała szosą biegnącą tuż przy brzegu Adriatyku. Było bardzo gorąco. Jadący na dźwigu kompanijnym Wojtek zeskoczył z niego i szybko pobiegł na plażę, gdzie kąpały się włoskie dziewczęta. Podniósł się wielki rwetes i młode Włoszki zaczęły w popłochu uciekać, mimo naszych prób ich przekonania, że *questo orso e buono, veramente buono* (ten niedźwiedź jest dobry, naprawdę dobry). Wojtek spokojnie się wykąpał i po kilku minutach grzecznie wrócił na swoje miejsce, opierając się na szoferce dźwigu.

Takich zdarzeń było sporo, a nasza piękna i sympatyczna maskota zyskała sobie należną stawę w całej 8. Armii Brytyjskiej, w ramach której walczył nasz korpus we Włoszech. Armia ta wydawała swoje czasopismo, które prowadziło specjalną rubrykę informującą o doli i niedoli naszego Wojtka.

Zainteresowanie misiem nie osłabło po przeniesieniu naszego korpusu i kompanii do Wielkiej Brytanii i trwa do dzisiaj, choć minęło niemal

50 lat od odejścia Wojtka na wieczną wartę. Sprawia to nam, nielicznym już żyjącym żołnierzom 2. Korpusu Polskiego, ogromną radość. Wojtek ma swoje tablice pamiątkowe i statuetki w kilku miejscach w Szkocji i Anglii.

Mam mocną nadzieję, że dzięki tej książce stanie się stawnym i lubianym misiem w Polsce. Był on bowiem naszym autentycznym towarzyszem broni, zastużonym i podziwianym przez wszystkich polskim niedźwiedziem-żołnierzem.

Wojciech Narębski



Profesor Wojciech Narębski, urodzony w 1925 roku we Włocławku jest ostatnim żyjącym w Polsce żołnierzem „misiowej” 22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii 2. Korpusu Polskiego. Po wojnie wrócił do kraju w 1947 roku. Ukończył studia chemiczne w Toruniu, następnie doktoryzował się i habilitował w zakresie geochemii w Krakowie. Pracował w Muzeum Ziemi. Obecnie nadal bardzo aktywnie działa w ruchach kombatanckich na terenie Polski i Włoch. Jest członkiem Polskiej Akademii Umiejętności.

Był nieocenionym źródłem wiedzy przy powstawaniu tej książki, dzięki czemu zyskała ona szczególną wartość historyczną – opartą na autentycznych wspomnieniach.

Mein Diadem



SKOTCJA

Edynburg
listopad 1947

Glasgow

IRLANDIA

ANGLIA

MORZE BA

OCEAN
ATLANTYCKI

NIEMCY

FRANCJA

WŁOCHY

PORTUGALIA

HISZPANIA

Bolonia
Ankona
Monte Cassino
maj 1944
Tarent
Neapol
wrzesień 1946

Gibraltar

MAROKO

ALGIERIA

TUNEZJA

MORZE ŚRÓDZIEMNE

LIBIA

ROSJA



ETYCKIE

POLSKA

GRECJA

MORZE CZARNE

TURCJA

PERSJA
(IRAN)

MORZE KASPIJSKIE

PALESTYNA

IRAK

EGIPT

Krasnowodzk

Pahlevi
kwiecień 1942

Kirkuk

Qizil Ribat

Gedera
lipiec 1943

El Quaassasin

Alekoandria
grudzień 1943

PEŁNY BRZUSZEK



Persja, kwiecień 1942 roku

Drzemałem słodko, gdy nagle – łup! Coś potężnie huknęło mnie w głowę.

– Psiakość! – Poderwałem się na równe nogi i znów – łup! Grzmotnąłem o sufit ciężarówki.

– Minęliśmy już miasto Hamadan? – spytałem siedzącego naprzeciw kolegę, rozmasowując guza. Byłem niezmiernie ciekaw, jak daleko zajechaliśmy w naszej podróży do Palestyny.

– Tak. Chyba tak. Nie wiem – wydukał przez zaciśnięte zęby Staszek, chudy jak patyk młodzik. Nie wyglądał dobrze. Jazda wyboistymi drogami sprawiła, że był zieloniutki na twarzy.

Nagle ciężarówka podskoczyła na kamieniu, a ja – łup! Nabiłem sobie kolejnego guza. By ochronić głowę, pośpiesznie nałożyłem metalowy hełm, by zaś ratować chorego kolegę, zastukałem w okienko szoferki i zawołałem do siedzącego za kierownicą Anglika:

– Halo! Stop!

– OK! – kiwnął głową kierowca i zjechał na pobocze.

Stłoczeni do tej pory niczym sardynki w puszcze, z radością wyskakiwaliśmy z samochodu, by rozprostować kości. Gdy opadł wzniecony przez ciężarówkę kurz, naszym oczom ukazała się górská dolina oraz... stojący przy drodze bosonogi chłopiec w poplamionej koszuli. Ścisnął w dłoniach brudny worek i przyglądał się nam z zainteresowaniem.

– Czy to droga do Kangavar? – zawołałem.



Malec nie odpowiedział. Postawił na ziemi worek, uniósł koszulę i wskazał palcem nagi brzuch, jakby chciał pokazać, że jest głodny.

– Poczęstuję go ciasteczkami – postanowił Staszek i wydobyl z kieszeni paczkę herbatników. Podszedł do chłop-



ca i zaczął rozmawiać, ja zaś zabrałem się do studiowania mapy.

Po chwili ktoś szturchnął mnie w ramię. Odwróciłem się i ujrzałem Staszka z jakimś zawiniątkiem w rękach.

– A to co?! – spytałem zdumiony na widok wystającej spomiędzy szmat kosmatej mordki.

– Niedźwiadek. Dostałem go od tego chłopca – wyjaśnił kolega i z czułością pogłaskał maleństwo za uchem.

– Oszalałeś! Oddaj go chłopakowi! Za chwilę jedziemy dalej! – wykrzyknąłem.

– Jedziemy, ale z niedźwiadkiem. Chłopak dostał za niego paczkę sucharów i mój ulubiony scyzoryk – odparł spokojnie Staszek i wskazał na irańskiego chłopca, który zbiegał w dół przełęczy. Zanim zniknął pomiędzy skałami, odwrócił się jeszcze i pomachał nam na pożegnanie. Wydawał się zadowolony z ubitego interesu. Ja zaś przeciwnie, zły byłem na Staszka, że bierze nam na głowę skudłacony, przykurzony, popiskujący z głodu kłopot.

– Zwariowałeś! Co my zrobimy z niedźwiedziem?! – spytałem wzburzony.

– Jak to co? Musimy go nakarmić. Spójrz, zebra mu wystają, ledwie się trzyma na nogach – odparł Staszek, podał mi niedźwiadka i pobiegł do samochodu po butelkę mleka. Umieścił w szyjce płócienną chustkę i tak sporządzony smoczek wetknął misiowi do pyszczka. Zwierzak zaczął chciwie siorbać.

– Przyniesiesz jeszcze jedną butelkę? – poprosił Staszek, widząc, jak błyskawicznie mleko znika w brzuchu wygłodniałego misia.

Trzy razy jeszcze biegłem do ciężarówki i trzy razy niedźwiadek w okamgnieniu opróżniał butlę, nim wreszcie poczuł się syty.

– I co teraz? Dowództwo wścieknie się, gdy zobaczy nas w obozie z niedźwiedziem – zacząłem klarować koledze.

– Nie zostawimy go na tym pustkowiu – zdecydował Staszek. – Bierzemy misia ze sobą, a gdy dojedziemy na miejsce poszukamy kogoś, kto się nim zaopiekuje.

Tiiiit! Angielski kierowca klaksonem dał sygnał do odjazdu i uruchomił motor. Staszek chwycił niedźwiadka i wskoczył do samochodu.

– Niech będzie – zgodziłem się niechętnie. – Też coś, niedźwiedź w wojskowej ciężarówce, objazdowe zoo, koniec świata... – gderałem pod nosem, sadowiąc się na swoim miejscu.

Ruszyliśmy znów krętą kamienistą drogą. Staszek posadził sobie niedźwiadka na kolanach. Zwierzak rozglądał się ciekawie i podrygiwał zabawnie na wybojach. Prezentował się już nieco lepiej. Futerko nabrało połysku, boczki zaokrągliły się, na mordce wypisana była radość.

– Ciekawe, co cię tak cieszy? – burknąłem.

Niedźwiadek spojrzał na mnie zadowolonymi ślepiami.

„Jak to co? – zdawał się mówić. – Pierwszy raz od wielu dni mam pełny brzuszek”.



NAZWIJCIE GO WOJCIECH



Wyobrażałem sobie, że pozostawiony w namiocie niedźwiadek zwinie się w kłębek i grzecznie na nas poczeka. Ale czy widział ktoś, żeby dziecko pozostawione bez opieki spokojnie czekało, aż wrócą opiekunowie? Gdzież tam! Gdy tylko nasza ciężarówka wyjechała poza granice obozu, maluch



żałośnie się rozplakał. Obok naszego namiotu przechodziła akurat pani Zosia, obozowa praczka.

– Ki czort?! – Zaintrygowana dobiegającym z wnętrza popiskiwaniami zajrzała do środka. Ledwie uchyliła wejście, niedźwiadek czmychnął na dwór i pognał za ciężarówką. Kto wie, jak zakończyłby się ten pościg, gdyby rozpędzony miś nie zamotał się w rozwieszoną na słońcu bieliznę. Zaplątany w świeżo uprane gacie wpadł do kurnika, wzbudzając panikę wśród drzemiących na grzędach kur. Równocześnie z przeraźliwym gdakaniem rozległ się krzyk kucharza Józefa:

– Zostaw moje nioski, hultaju! Jak cię pacnę patelnią!



Tymczasem w namiocie oficerskim major Chełkowski odbywał naradę z kapitanem Sosnowskim. Dowódcy kompanii pochylali się nad mapą sztabową, gdy pośrodku stołu wylądowała gdacząca wniebogłosy kwoka.

– A to co za draka?! – wrzasnął zdumiony kapitan Sosnowski.

W ślad za kurą do namiotu wpadł zaplątany w gatki niedźwiadek, za nim zaś kucharz Józef z patelnią w dłoni oraz pani Zosia z okrzykiem:

– Oddawaj moje gacie, gałganie jeden!

Major Chełkowski zręcznie pochwycił kwokę i wręczył ją zaskoczonemu kucharzowi. Następnie pochylił się nad zziąjanym niedźwiadkiem. Malec spoglądał na niego jednym okiem, drugie bowiem zasłaniała mu tkwiąca na łebku bielizna. Major oswobodził misia i zwrócił pani Zosi jej własność.

– Proszę zabrać te... hmmm... gacie – zwrócił się do praczki z całą powagą. – Proszę również, byście doprowadzili tego łobuziaka do porządku oraz by nie przeszkadzano nam, odbywamy bowiem z kapitanem ważną naradę.

Kucharz Józef oraz pani Zosia wzięli sobie do serca słowa majora, szczególnie te o „doprowadzeniu łobuziaka do porządku”. Wyszorowali i wyszczotkowali misia, po czym wzięli go do kuchni, gdzie natychmiast znalazła się miska ciepłego mleka oraz słoik marmolady.

Wiść o nowym mieszkańcu obozu rozniosła się lotem błyskawicy. Żołnierze zaglądali do kantyny, znosili smakołyki, drapali niedźwiadka pod brodą. Do stołówki zawitał

nawet major Chełkowski. Zbliżył się do zwierzaka, by podarować mu butlę soku malinowego. Miś stanął na tylnych łapach i zaczął wymachiwać przednimi, jakby zapraszał dowódcę do zabawy. Major nie dał się długo prosić, zakasał rękawy i zaczął płaść wokół stołu, markując ciosy bokser-skie. Niedźwiadek był zachwycony.

Gdy wieczorem wpadliśmy do stołówki, mecz trwał w najlepsze. Choć Staszek uszczypnął mnie kilkakrotnie, nie wierzyłem własnym oczom. Z osłupienia wyrwało mnie dopiero wołanie kucharza Józefa:

– Chłopaki, ten wasz niedźwiedź to dopiero niezły numer! Jak on właściwie ma na imię?

– Nie ma imienia, nazywamy go po prostu misiem – odparł Staszek.

Zasapany major Chełkowski podszedł i poklepał nas po plecach.

– Hmm, nie ma imienia? Nazwijcie go Wojciech – zaproponował.

– Dlaczego akurat Wojciech? – zdziwiłem się.

– To stare polskie imię. Woj-ciech oznacza tego, który potrafi cieszyć się w czasie wojny – wyjaśnił dowódca.

– Woj-ciech. Wojciech. Wojtek. To dobre imię – uznał Staszek. – Czy w takim razie miś może zamieszkać w obozie? – spytał nieśmiało.

– Zwariowałaś! – Kopnąłem go w kostkę. – Obóz wojskowy to nie miejsce dla niedźwiedzia.



– Oczywiście, że może z nami zamieszkać – odparł ku
mojemu zaskoczeniu major. – Spójrzcie, ile radości wniósł
do naszego żołnierskiego życia. – Wskazał roześmiane to-
warzystwo dopingujące niedźwiadka w meczu bokserskim
z kucharzem Józefem. – Nic tak nie podnosi na duchu, jak
towarzystwo misia. Każde dziecko to wie – dodał.

Zrozumieliśmy wtedy ze Staszkiem, że wyprawa w po-
szukiwaniu opiekunów dla niedźwiadka była niepotrzeb-
na. Maluch sam doskonale sobie poradził. W ciągu jednego
dnia zawojował serca mieszkańców obozu, w tym serce ma-
jora Chełkowskiego, który okazał się wcale nie taki groźny
i surowy, jak nam się na początku wydawało.



SZPITAL DZIECIĘCY



Każdego ranka na obozowym placu odbywał się apel, podczas którego major Chełkowski przydzielał żołnierzom zadania.

– Zawieziecie żołnierzy na poligon! – oznajmiał jednego dnia.

– Będziecie uczyć młodzików jazdy samochodem! – wołał innego.

– Zawieziecie żywność i lekarstwa do szpitala dziecięcego – zakomunikował pewnego razu.

Wszystkie rozkazy majora wypełnialiśmy chętnie, ten jednak przyjęliśmy z wyjątkową radością. Ucieszyliśmy się, że podczas wizyty w szpitalu spotkamy panią Hankę Ordonównę⁸, słynną piosenkarkę i aktorkę, która po wybuchu wojny poświęciła się opiece nad chorymi i bezdomnymi dziećmi. Razem z naszą armią wywędrowało ze Związku Radzieckiego wiele skrzywdzonych przez wojnę polskich dzieci. Nie miały rodziców, głodowały, chorowały, potrzebowały opieki. Taką opieką starała się je otoczyć pani Hanka.

*Trudno serce okłamywać,
bo mądrzejsze jest niż ty...*



Jechaliśmy przez pustynię i śpiewaliśmy na całe gardło przedwojenne piosenki. Nie mogliśmy doczekać się spotkania z prawdziwą gwiazdą.

Zajechaliśmy na podwórze i skierowaliśmy kroki do szpitala dziecięcego. Ubrana w szary fartuch, zatroskana i zmęczona pani Hanka mierzyła temperaturę chorej dziewczynce. Nie wyglądała na gwiazdę, którą pamiętaliśmy z kina.

– Pani Hanko, przywieźliśmy mąkę i konserwy – zameldowałem.

– Jutro dostarczymy lekarstwa – dodał Staszek.

Ale pani Hanka jakby nas nie słyszała.

– Ta dziewczynka ma gorączkę, bardzo się o nią martwię – powiedziała cicho. – Cóż nam po jedzeniu i lekarstwach, skoro wojna odebrała tym dzieciom całą radość?

Rozejrzałem się po sali. Wychudzone, smutne dzieci spały lub leżały w łózkach wpatrzone w sufit.

– Pani Hanko, mam pomysł. – Uśmiechnąłem się tajemniczo. – Przyjedziemy jutro. Do zobaczenia! – Ukłoniłem się.

Gdy następnego dnia nasza ciężarówka pojawiła się w bramie prowadzącej na szpitalne podwórze, pani Hanka już na nas czekała.

– Proszę poznać Wojtka! – zawołaliśmy.

Niedźwiadek wyskoczył z samochodu i stanął na baczność. Pani Hanka roześmiała się i uściśnięła mu łapę na powitanie.

– Czy możemy odwiedzić salę chorych? – spytałem.



– Zapraszam – odparła gospodyni i wprowadziła nas do szpitala.

Wojtek podszedł do pierwszego z brzegu łóżka i polizał po nosie śpiącego w nim chłopca. Malec obudził się i otworzył oczy.

– Niedźwiadek – wyszeptał.

– Miś, zobaczcie, tam jest miś! – wołała dziewczynka, której poprzedniego dnia pani Hanka mierzyła temperaturę.

Dzieci podnosiły się na łóżkach, Wojtek tymczasem, niczym prawdziwy lekarz, ruszył na obchód sali. Odwiedził każdego pacjenta, a następnie wdrapał się po stojącym pośrodku słupie i zawisł na belce pod sufitem. Kołysał się



przez chwilę, po czym objął słup łapami i zjechał na ziemię. Dzieci klaskały, skakały na łózkach i piszczały z radości. Zadowolony z aplauzu miś powtórzył sztuczkę. Pani Hanka uśmiechała się rozpromieniona.

Niezmordowany niedźwiadek popisывał się przez godzinę, nim zmęczeni pacjenci ułożyli się wreszcie do snu. Po cichutku, by dzieci nie budzić, wyszliśmy na podwórze.

– Znakomity z ciebie lekarz, zauważyłam dziś znaczną poprawę u moich pacjentów. Dziękuję z całego serca! – Pani Hanka podarowała Wojtkowi ciastko na pożegnanie.

– No i przy okazji wydało się, że prawdziwy z ciebie artysta! – roześmialiśmy się ze Staszkiem, czochrając misia po łebku.



REKRUT WOJCIECH



Całą drogę powrotną do El Quassasin rozmyślałem, na jakież tajemniczy pomysł wpadł major Chełkowski i dlaczego nie zostawił u generała Wilsona spisu żołnierzy. Wszystko wyjaśniło się, gdy dojechaliśmy na miejsce i zatrzymaliśmy się przed oliwkowozielonym budynkiem z tablicą: **KOMISJA POBOROWA**. To tu zgłaszali się ochotnicy do polskiego wojska, tu komisarz w wielkich okularach wpisywał ich na listę żołnierzy, wydawał broń i mundury.

– Chodźmy – zakomenderował major Chełkowski.

– Czy Wojtek też będzie potrzebny? – spytał Staszek.

– Przede wszystkim Wojtek będzie potrzebny – odparł major i zamaszystym krokiem wmaszerował do budynku. Pospieszaliśmy jego śladem.

– Dzień dobry. – Komisarz nałożył na nos okulary i zlustrował nas uważnie zza swego biurka. Jego badawczy wzrok zatrzymał się na towarzyszącym nam niedźwiedziu. – Czym mogę służyć? – spytał.

– Chcemy zgłosić ochotnika do polskiego wojska – oznajmił major.

Komisarz wyciągnął z szuflady formularz i zamoczył pióro w kałamarzu.





- Proszę podać imię rekruta – powiedział.
- Wojciech.
- Nazwisko?
- Bez nazwiska.
- Jakże to bez nazwiska? Jest w formularzu rubryka „nazwisko”, musi być nazwisko! – oburzył się komisarz.
- Miś. Proszę wpisać „miś” – zaproponowałem.
- Woj-ciech Miś – przesyłabizował komisarz i zapisał na karcie.
- Do jakiej jednostki? – spytał.

– Do 22. Kompanii Transportowej.

– Szeregowy Wojciech Miś, narodowość polska, 22. Kompania Transportowa – powtarzał pod nosem komisarz, uzupełniał dokumenty i przykładał stemple. Wojtek przechylał łeb na lewo i prawo, jakby zastanawiał się, cóż znaczą te czynności.

– Czy to już wszystko? – spytał major.

Komisarz spojrział na nas znad okularów i uniośł palec wskazujący do góry.

– Jest jeszcze jedna ważna sprawa – odrzekł. – Muszę wydać mundur. Jaki Wojciech Miś nosi rozmiar?

– Największy! – wykrzyknęliśmy wszyscy jednocześnie.

– Grrrr – zamruczał Wojtek twierdząco.

Tak oto formalnościom stało się zadość i niedźwiedź został oficjalnie wpisany na listę żołnierzy 22. Kompanii Transportowej, otrzymał przydziałowy mundur, hełm, me-
nażkę, płaszcz przeciwdeszczowy, a nawet kalosze.

Wskoczyliśmy do samochodu i pognaliśmy z powrotem do generała Wilsona.

– Dzień dobry, panie generale. Z tego wszystkiego nie zostawiliśmy spisu żołnierzy – odezwał się dziarsko major Chełkowski, gdy zjawiliśmy się ponownie w generalskim gabinecie.

– Tak, rzeczywiście, lista żołnierzy jest mi bardzo potrzebna – odparł wpatrzony w mapę generał Wilson.

– Proszę przypomnieć, ilu zuchów płynie jutrzejszym transportem?



– Dwustu pięćdziesięciu jeden żołnierzy – odpowiedział major.

– Wydaje mi się, że mówił pan wcześniej o dwustu pięćdziesięciu żołnierzach – zdumiał się generał.

– Zgadza się. Jeden ochotnik został dziś dopisany do listy – odrzekł zgodnie z prawdą major.

– Doskonale, potrzeba nam dobrych żołnierzy – ucieszył się generał. – Pamiętajcie panowie o zasadzie: na pokład statku wstęp mają tylko żołnierze – przypomniał.

– Tak jest, tylko żołnierze! – Major Chełkowski zasalutował.



Wieczorem w całym obozie zapanowało wielkie poruszenie, wszyscy szykowali się do żeglugi, pakowali plecaki, pucowali buty, pisali listy do rodzin. Tylko jeden żołnierz siedział spokojnie w kącie i nie zwracał uwagi na całe to zamieszanie. Na wszystkie strony obracał w łapach butelkę po soku malinowym. W środku tkwiła jeszcze jedna, ostatnia kropelka.

– Zastanawiam się, czy dobrze robimy, biorąc Wojtka na wojnę – odezwał się Staszek.

– Jak to? – zdziwiłem się.

– Boję się, że narażamy go na niebezpieczeństwo. Sam mawiałeś przecież, że front wojenny to nie miejsce dla niedźwiedzia.

Prawda, mówiłem tak, teraz jednak trudno było mi sobie wyobrazić, byśmy mogli zostawić Wojtka w Afryce.

– To nasz przyjaciel, Staszku – odparłem. – I cokolwiek się wydarzy, musimy przeżyć tę przygodę razem. Do samego końca.

– Grrrrrr – jakby na potwierdzenie mych słów rozległo się mruczenie zadowolonego misia. To ostatnia kropelka soku malinowego skapnęła wreszcie do pyska i wylądowała szczęśliwie w niedźwiedzim brzuchu.



PRACOWITY DZIEŃ



W marcu 1944 roku odbyła się narada dowódców wszystkich wojsk, które walczyły we Włoszech z armią niemiecką. Zebrali się generałowie z Anglii, Ameryki, Francji, Nowej Zelandii, a także generał Władysław Anders, głównodowodzący polskiej armii.

– Jedyne droga na północ wiedzie przez Cassino. Niestety Niemcy odparli kolejny nasz atak na tę miejscowość – oznajmił zmartwionym głosem angielski generał. – Nasza ofensywa stanęła w miejscu.

– Zbombardowaliśmy Monte Cassino¹², ale wróg jeszcze skuteczniej broni się w ruinach – zameldował dowódca wojsk amerykańskich.

– Monte Cassino wydaje się twierdzą nie do zdobycia – podsumował generał z Nowej Zelandii.

– Generale – zwrócił się Anglik do Władysława Andersa – czy polscy żołnierze zmierzą się z tym zadaniem?

– Tak, polska armia zdobędzie Monte Cassino – odparł generał Anders.

– To trudne wyzwanie, wielu żołnierzy zginęło – ostrzegł brytyjski oficer.

– Może pan być spokojny. Poradzimy sobie.



Rozpoczęły się przygotowania do bitwy. Nasza kompania otrzymała bardzo ważne zadanie – mieliśmy zorganizować Polowy Ośrodek Zaopatrzenia, czyli magazyn amunicji i żywności. Uwijaliśmy się niczym mrówki od rana do nocy. Na plac zajeżdżały ciężarówki wyładowane amunicją. Dwaj żołnierze zdejmowali skrzynie z paki, a dwaj inni przynosili je na mniejsze samochody i wieźli ładunek w góry. Tam znów ściągaliśmy skrzynie i mocowaliśmy je na grzbietach mułów, które wspinały się górską ścieżyną aż do pozycji ogniowych artylerii.

Wojtek przesiadywał całymi dniami na rosnącej pośrodku obozu wysokiej sośnie. Wdrapywał się na drzewo, rozsiadał na grubym konarze i przypatrywał się przelatującym w górze eskadrom bombowców lub wsłuchiwał w dochodzące z oddali echa eksplozji. Czasem zerkał w dół i obserwował naszą gorączkową krzątanicę.

Tuuuu... tuuuuu!

Poderwałem się na sygnał klaksonu. To Staszek przywiózł kolejny transport pocisków. Wskoczyłem na pakę, by pomóc koledze przy rozładunku. Za ciężarówką uformowała się kolejka żołnierzy gotowych odbierać skrzynie, na samym zaś jej początku ustawił się... niedźwiedź!

Zafrasowani spojrzeliśmy ze Staszkiem na siebie. Cóż było robić, ostrożnie podaliśmy Wojtkowi skrzynię. W końcu również był żołnierzem.





Włosy zjeżyły mi się na głowie, gdy wyobraziłem sobie, że mógłby ją upuścić. Cały obóz wyleciałby wtedy w powietrze! Ale miś świetnie sobie poradził, objął ładunek łapami, poniósł do samochodu terenowego i podał oczekującym tam żołnierzom. Następnie wrócił i zgłosił się po kolejną skrzynię.

– Spodobało mu się dźwiganie ciężarów – ucieszył się Staszek.

Pracowity miś wykonał dwadzieścia kursów, po czym podszedł do beczki z wodą, napił się i klapnął pomiędzy workami z piachem.

– Chyba mu się znudziło – stwierdziłem.

Myliłem się. Niedźwiedź odsapnęła, a gdy tylko na plac zajechała kolejna ciężarówka, znów ustawił się w kolejce.

Wieczorem, kiedy ostatnia skrzynia z amunicją trafiła na swoje miejsce, zebrani na placu żołnierze stanęli wokół Wojtka i bili brawo, miś zaś unosił łeb w górę i w dół, jakby mówił: „Tak, tak, to był pracowity dzień”. Nawet muły w swej zagrodzie spoglądały na niego z uznaniem, a może z zazdrością.

– Zapracowałeś dziś nie tylko na oklaski, ale na wielki słój marmolady! – wołał Staszek, lecz Wojtkowi nie spieszyło się do słodkości, wciąż kiwał łbem zadowolony, że mógł nam pomóc.



Gdy następnego dnia rano zbudziliśmy się i wyszliśmy ze Staszkiem z namiotu, zmęczony niedźwiedź jeszcze spał. Pomiędzy wojskowymi ciężarówkami krzątał się major Chełkowski. Biegał od jednego pojazdu do drugiego z puszką farby i pędzlem w dłoni.

– Co pan robi?! – zawołałem.

– Może pomóc? – spytał Staszek.

– Nie trzeba! Właśnie skończyłem – odrzekł major.

Podeszliśmy do ciężarówki. Świeży malunek na drzwiach przedstawiał niedźwiedzia niosącego pocisk artyleryjski. Identyczny obrazek wymalowany był na wszystkich pojazdach.



– To nowy emblemat 22. Kompanii Transportowej –
oznajmił z dumą major.

– Zabiedzony niedźwiadek z płóciennego wora... wy-
rósł na prawdziwego bohatera – odezwał się wzruszony
Staszek.

„I zapisał się na zawsze w historii drugiej wojny świato-
wej” – pomyślałem. Wtedy zrobiło mi się wstyd, że tak psio-
czyłem swego czasu na naszego niedźwiedzia, że nazywałem
go darmozjadem.



ORDER



Obóz Santa Maria, Włochy, czerwiec 1944 roku

– Żołnierze! – odezwał się major Chełkowski podczas uroczystego apelu. – Otrzymałem list od generała Władysława Andersa, w którym dowódca obiecał, że najdzielniejsi z was zostaną odznaczeni orderem za waleczność i bohaterstwo.

Wśród żołnierzy rozległ się pomruk zadowolenia.

– Druga dobra wiadomość – zawołał major – to taka, że dostaliśmy tydzień wolnego!

Rozległ się jeszcze głośniejszy pomruk zadowolenia.

– Jedźcie na wakacje, zabawcie się i wypocznijcie, pamiętajcie jednak, że choć wygraliśmy bitwę, wojna jeszcze się nie skończyła. Droga do domu będzie długa i ciężka!



– Misiu, jedziemy na wycieczkę! – zakrzyknąłem do drzemiącego przed namiotem Wojtka.

Niedźwiedź poderwał się ochoczo i wdrapał na ciężarówkę. Obraliśmy kurs na południe. Wojtek wystawił łeb przez otwór w dachu, rozkoszował się upojną wonią sadów

pomarańczowych i winorośli. Po godzinie jazdy usłyszałem jego radosny ryk:

– Uoaarrrrr!

Był to znak, że dojeżdżamy na miejsce. Wrażliwy nos niedźwiedzia wyczuł zapach morza. Minęliśmy latarnię morską, zjechaliśmy z szosy i po piaszczystej wydmie wjechaliśmy prosto na plażę. Przed nami skrzyły się w słońcu turkusowe wody Morza Adriatyckiego.

Wysiadłem z auta i ujrzałem, że Wojtek, nie czekając na zachętę, kłusuje już w stronę morza.

– Popłuskaj się, wypłucz z futra kurz wojenny, pobycz się na plaży, o ile niedźwiedzie potrafią się byczyć, ale – pogroziłem mu palcem – nie oddalaj się od latarni morskiej. Masz na mnie czekać dokładnie w tym samym miejscu.



Byłem spokojny, że Wojtek nie oddali się, gdy zostawię go na chwilę samego – zdawał się całkowicie pochłonięty chwytaniem rozbijających się u brzegu fal. Wróciłem do ciężarówki i udałem się szosą z powrotem na północ, planowałem bowiem jeszcze jedną niespodziankę.

Po godzinie zjawilem się znów na plaży. Wojtek suszył futro w słońcu, pewnie dopiero co wylał z wody.

– Wstawaj, nygusie! – zawołałem i postawiłem przed nim dwa wiadra. Pierwsze wypełnione było soczystymi pomarańczami, w drugim połyskiwały świeże winogrona. – Dowiedziałem się w dowództwie, że regulamin nie przewiduje orderów dla zwierząt. Niech zatem ta wyżerka posłuży jako nagroda za twoje niedźwiedzie bohaterstwo – wyjaśniłem.

Wojtek zanurzył pysk najpierw w jednym wiadrze, potem w drugim i tak obżerał się na przemian, to pomarańczami, to winogronami, to winogronami, to znów pomarańczami. Usiadłem na piasku, wystawiłem twarz do słońca i wsłuchiwałem się w szum fal zmieszany z donośnym niedźwiedzim mlaskaniem.



GENERAL



Winfield Park, Szkocja, jesień 1947 roku*

Po przybyciu do Szkocji zamieszkaliśmy w Winfield Park. Jesienią 1947 roku nasz obóz odwiedził generał Władysław Anders. Zorganizowaliśmy z tej okazji specjalny pokaz filmowy.



* [czyt. linfield]



Trrrrrrrrrrrrrr... – projektor filmowy terkotał cicho.

Żołnierze rozsiedli się na drewnianych ławkach, rozłożonych na trawie kocach i niczym zaczarowani wpatrywali się w rozwieszone między drzewami prześcieradło, na którym pojawiały się ruchome obrazy. Kolumna pojazdów sunęła przez pustynię, potężny dźwig ładował ciężarówki na statek, oddziały piechoty szturmowały Monte Cassino. Nagle rozległ się śmiech i oklaski. Na ekranie pojawił się niedźwiedź. Na otoczonym namiotami placu ćwiczył zapasy, maszerował po trapie na okręt, dźwigał skrzynie z amunicją...



– Byłeś dziś prawdziwą gwiazdą filmową – pochwalilem Wojtka, gdy wróciliśmy ze Staszkiem do namiotu.

– Cieszę się, że wojna się skończyła, a zarazem jakoś smutno, że to koniec naszej wspólnej przygody – westchnął Staszek.

– Każda przygoda musi się kiedyś skończyć. – W wejściu do namiotu stał lekko zgarbiony pan w generalskim mundurze. – Dobry wieczór – powitał nas i wszedł do środka podpierając się laską.

Wyprężyliśmy się i zasalutowaliśmy. Odwiedził nas generał Władysław Anders!

– Spocznijcie, przyjaciele. Przyszedłem się pożegnać. – Generał spojrzał na siedzącego w głębi namiotu misia.

– To Wojtek, niedźwiedź z Persji...

– Wiem doskonale, kto to jest – przerwał mi generał z uśmiechem. – Wiele słyszałem o Wojtku.

– Grrrrr – zamruczał miś i... może wydawało mi się, ale odniosłem wrażenie, że z dumą wypiął pierś.

– Przyszedłem podziękować za wasz trud i poświęcenie. Wojna dobiegła końca. Jedni wracają do Polski, inni zostają na obczyźnie. Poszukajcie domu dla waszego niedźwiedzia. Zasłużył na wypoczynek po tym wszystkim, co przeszedł. Wiem, że nie było lekko.

– Zastanawialiśmy się wielokrotnie, panie generale – odezwał się nieśmiało Staszek – czy front wojenny to dobre miejsce dla niedźwiedzia.

– Wojna dla nikogo nie jest dobrym miejscem – odparł generał. – Ale przyszło nam żyć w niespokojnych czasach i możemy jedynie mieć nadzieję, że nasze dzieci nigdy nie będą musiały oglądać wojny na własne oczy.

Generał uklonił się i skierował do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się i odwrócił raz jeszcze.

– Czy mogę uścisnąć mu łapę? – spytał.

– Oczywiście, panie generale!



KLUCZ



Edynburg, Szkocja, 15 listopada 1947

Zatrzymaliśmy się przed bramą. Wojtek stanął na dwóch łapach i węszył. Zadarliśmy głowy, by odczytać wielki napis na tablicy: **EDYNBURSKI OGRÓD ZOOLOGICZNY**.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – spytał Staszek.

– Nie możemy dłużej opiekować się misiem. Ty wracasz do Polski, ja muszę odnaleźć rodzinę – odrzekłem. – A tu Wojtek znajdzie wreszcie prawdziwy dom.

Przekroczyliśmy bramę i skierowaliśmy się do budynku dyrekcji. Dyrektor zoo wybiegł nam na spotkanie.

– Dzwonili już do mnie z Ministerstwa Obrony, uprzedzali. Witam bohaterów wojennych! – Dyrektor uklonił się przed Wojtkiem, chwycił niedźwiedzią łapę i potrząsnął nią energicznie. – Zapraszam do siebie!

Ściany dyrektorskiego gabinetu obwieszane były fotografiami zwierząt z różnych kontynentów.

– To Wojtek, niedźwiedź brunatny syryjski – przedstawiłem misia.

– *Ursus arctos Syriacus*, oczywiście – potwierdził dyrektor, sięgnął pod biurko i podał Wojtkowi butlę soku malinowego. Wyglądało na to, że istotnie znał się na zwierzętach.

– Przygarnęliśmy go sześć lat temu w Persji. Przeszedł długą drogę, brał udział w działaniach wojennych we Włoszech... – wyjaśniał Staszek, a dyrektor kiwał głową i powtarzał: „oczywiście” albo „to zdumiewające”.

– Chcemy oddać naszego przyjaciela w dobre ręce – oznajmiliśmy w końcu.

– Doskonale trafiliście! – wykrzyknął dyrektor. – Tu niczego Wojtkowi nie zabraknie.

– Wiemy, jednak chcielibyśmy kilka rzeczy z panem uzgodnić – odparłem.

– Rzecz jasna! – Dyrektor otworzył kajet i zamoczył pióro w kałamarzu.

– Po pierwsze, przestronny wybieg... z drzewami, na które można się wdrapywać... z miejscem osłoniętym od deszczu... i ciepłą jaskinią na zimę... – wyliczaliśmy.

– Jeszcze dziś wydam stosowne dyspozycje – obiecał dyrektor.

– Po drugie, sąsiedztwo.

– Tak?

– Żeby żadne małpy nie mieszkały w pobliżu – zastrzeżyliśmy.

– Wrrrrr – warknął Wojtek na potwierdzenie.

– Żadnych małp, rozumiem – potwierdził dyrektor i zapisał prośbę w kajecie. – A pingwiny? – spytał.

– Pingwiny mogą być – zgodziłem się. – Po trzecie jadłospis: kasza, marmolada, jabłka, figi, daktyle, miód, orzechy, ananasy, pomarańcze, zupa jarzynowa, fasola, banany,



herbatniki... – przez piętnaście minut wymienialiśmy ulubione potrawy Wojtka – ...oraz butla soku malinowego trzy razy w tygodniu.

– Jasna sprawa. We wtorek, czwartek i sobotę sok malinowy.

– Po czwarte, basen do codziennych kąpiei.

– Basen, to naturalne – przytaknął dyrektor.

– Po piąte... po szóste... po siódme... – wyliczaliśmy słabostki i upodobania naszego niedźwiedzia, dyrektor skrzętnie wszystko notował, Wojtek zaś przypatrywał się nam i kiwał łbem zadowolony.

– Czy coś jeszcze? – spytał dyrektor, gdy skończyliśmy.



– Tak. Klucz.

Dyrektor odłożył pióro, przetarł oczy i przyjrzał nam się badawczo.

– Klucz?!

– Wszystkie klatki w zoo są zamykane na klucz, prawda? – spytałem.

– Oczywiście – potwierdził dyrektor.

– Potrzebujemy dodatkowy klucz do wybiegu Wojtka – oznajmił Staszek.

– Taki klucz da nam pewność, że możemy zawsze odwiedzić naszego przyjaciela – wyjaśniłem.